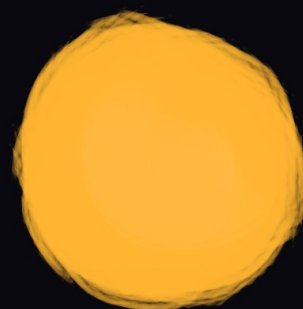




AUTOETNOGRAFIE



WIOSNA 2025

N o w e o k o l i c z n o ś c /

zin etnograficzny

wiosna 2025, nr 7

Temat numeru: **Autoetnografie**

Redakcja:

Koło Naukowe Studentów i Studentek Etnologii i Antropologii Kulturowej

Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu

w składzie:

Adam Berliński

Maria Buczkowska

Olga Fisz

Aleksandra Gliwińska

Natalia Kierkuś

mgr Tomasz Makowski

Jan Jerzy Niemczyk

Kalina Szafkowska

Zofia Wawszkiewicz

Julia Zaręba

Redaktor zina:

mgr Tomasz Makowski

Projekt graficzny okładki:

Natalia Kierkuś

Opieka naukowa:

dr Maja Dobiasz-Krysiak

Spis treści:

★ Od redakcji

- Autoetnografie – dr Maja Dobiasz-Krysiak, mgr Tomasz Makowski

★ Temat numeru: Autoetnografie

- Po co tam wracam? – Aleksandra Gliwińska
- Wolność na Woodstocku – Kalina Szafkowska
- Muzyk moim drugim domem – Zofia Wawszkiewicz

★ Kącik ludowiedztwa

- Na zwiastowanie przybywaj bocianie – Adam Berliński
- Wygón Łowiec – Jan Jerzy Niemczyk

★ Sztuka

- Stramberk – Maria Buczkowska

★ Rubryka farmazoniarska

- Przegadane farmazoniarskie manifesto – Tomasz Makowski

★ Zabłyśnij!

- Zapomniany brat, Prasowanie...piersi? – Julia Zaręba

★ Polecajki

- „Ślady zbrodni” i „Śleboda” – Olga Fisz

AUTOETNOGRAFIE

Nadeszła wiosna, czas więc na siódme wydanie zina etnograficznego „Nowe Okoliczności”. Tematem numeru są „Autoetnografie”, czyli opis i analiza osobistych doświadczeń w celu ukazania szerszego zjawiska kulturowego czy problemu społecznego. Autorzy i autorki przyglądają się badawczym okiem samym sobie i podejmują próby zmierzenia się z kulturą polską na własnym przykładzie. Ten numer to także inauguracja nowego składu Koła Naukowego Studentów i Studentek Etnologii i Antropologii Kulturowej, stanowiącego redakcję zina. Przewodnicząca Koła została Kalina Szafkowska, zastępcą Adam Berliński, a redaktorem prowadzącym zina – Tomasz Makowski.

Zmienił się skład Koła i redakcji, linia naszego zina pozostaje jednak taka sama (to znaczy słuszna). Odkładając żarty na bok, w tworzeniu „Nowych Okoliczności” przyświeca nam raczej idea pisania niezależnego, raczej spontanicznego i zaangażowanego niż ścisłego i uporządkowanego. To zaś doskonale wiąże się z podejmowanym przez nas w tym numerze tematem. Nasze pisanie bowiem jest osobiste, tak jak osobiste są z natury rzeczy autoetnografie. Bardziej niż dotychczas będzie się to odnosiło do zedomowionego już w zinie „Kącika ludowiedztwa”, w którym z Adamem Berlińskim publikować będzie teraz Jan Jerzy Niemczyk, podobnie do starszego kolegi rozmiłowany w swojej małej ojczyźnie i zaangażowany w kultywowanie jej tradycji. Jan swój debiutancki tekst napisał w gwarze cieszyńskiej, czyniąc go tym samym pierwszym w historii zina tekstem napisanym w gwarze jako takiej!

Obecność autorów jest też wyraźnie wyczuwalna w tekstach z innych działów. Subtelnie osobisty jest tekst Marii Buczkowskiej o pomniku w Stramberku („Sztuka”), bez gustów i fascynacji autorów nie obyłyby się też tradycyjne „Polecajki”, w których wypowiada się tym razem Olga Fisz. Bardzo bezpośrednio i szczerze o swoich doświadczeniach piszą Aleksandra Gliwińska, Kalina Szafkowska i Zosia Wawszkiewicz, autorki tekstów do „tematycznej” części zina. Natalia Kierkuś nie pisze w tym numerze o swoich refleksjach, ale wyraża je obrazem – stąd nasza okładka. Osobisty charakter ma wreszcie na swój pokręcony sposób „Rubryka farmazoniarska”, której stworzenie zaproponowałem. Całości dopełnia rubryka „Zabłyśnij”, gdzie Julia Zaręba dzieli się antropologicznymi ciekawostkami do wykorzystania w dowolnej sytuacji towarzyskiej. Mamy nadzieję, że taki koktajl osobowości i osobistych perspektyw przypadnie Wam do gustu. Owocnej lektury!

dr Maja Dobiasz-Krysiak

mgr Tomasz Makowski

Po co tam wracam?

Nieraz w mojej głowie pojawiało się pytanie, dlaczego ludzie podróżują. Motyw podróży towarzyszy mi nieustannie – od wakacji nad morzem (dziękuję mamie i tacie) po dzieła kultury, które ten motyw zawierają. Ostatnio czytałam „Biegunów” Olgi Tokarczuk. Książka obudziła we mnie głęboko skrywane ambicje podróżnicze. Teraz mam ochotę zwiedzać najwięcej, jak mogę – już nie tylko miejsca, które odwiedziłam wcześniej.

Pamiętam, gdy w dzieciństwie rodzice zabierali mnie nad morze. Zawsze był to nasz polski Bałtyk – lodowata woda, wykrzykiwane: „gorąca kukurydza” i tłumy, których nie sposób zapomnieć. Pamiętam moje przerażenie, gdy na chwilę gubiłam rodziców z zasięgu wzroku. To właśnie otaczające mnie masy ludzi zapamiętałam najbardziej z naszych wyjazdów. Jak wiele miast odwiedziliśmy? Kołobrzeg, Gdańsk, Władysławowo, Mielno... Wszystkie niby inne, ale w pewnym sensie takie same. Jaki to ma sens?

Nie byliśmy jedynymi, którzy przez lata podróżowali w te same miejsca. Mam wielu znajomych, którzy co roku jeździli na wakacje nad morze. Dlaczego akurat tam? Raczej nie chodzi o pieniądze – ceny nad morzem są kosmicznie wysokie. Jest wiele innych miejsc, w które można pojechać i oszczędzić sobie nieprzyjemności. Czy chodzi o to, że morze jest najbardziej dostępną opcją wakacyjną? A może jest tu ukryty jakiś głębszy sens? Możliwe, że w świadomości ludzi istnieje jakiś kolektywny schemat idealnych wakacji, który wygląda następująco: plaża, słońce i piwo. W końcu wakacje to czas odpoczynku (czy faktycznie da się odpocząć w takim tłumie i zgiełku, to już inna kwestia).

Dlaczego wracamy w to samo miejsce? Wakacyjny wyjazd jest szansą na ucieczkę od nudnej codzienności. Przerwa od pracy jest zerwaniem rutyny. Jednakże rutyna zapewnia poczucie bezpieczeństwa, które w hierarchii potrzeb Masłowa ulokowane jest zaraz po potrzebach fizjologicznych. Może wracamy w to samo miejsce, ponieważ poszukujemy rutyny w braku rutyny. Przyjazd w znane nam miejsce może jednocześnie spełniać dwie funkcje: być odskocznią od codzienności, a zarazem zapewnić komfort psychiczny.

Dopiero po około dziesięciu wyjazdach nad morze moi rodzice przerzucili się na góry – bardziej aktywną formę wypoczynku. Pierwsze góry, które odwiedziłam, to Bieszczady – dziś uważam je za raj. Myślę tak, gdyż ma teraz porównanie z Zakopanem. Śmierdząca spalinami główna ulica, wieczny hałas, Górale próbujący na każdym kroku oskubać przyjezdnych z pieniędzy i (znowu) wszechobecne tłumy turystów. Miejsce, które miało zapewnić mi odpoczynek, zapewniło mi jedynie przebodźcowanie i ból głowy. Jedynie góry są mi w stanie wynagrodzić nadszarpane nerwy, chociaż nawet na szlakach nie da się opędzić od tłumów. Mimo mojej niechęci z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu byłam w tym mieście aż trzy razy! Po co tam wracam? Czego tam szukam?!

Co ciągnie nas w miejsca, które nas odpychają? Być może chodzi o popularność. Gdy powiem znajomym, że byłam w Zakopanem, to będą wiedzieć, o czym mówię, może nawet z uznaniem pokiwają głową. Natomiast gdy powiem, że byłam, dajmy na to, w Kościelisku, to raczej nie doczekam się żadnej reakcji z ich strony. Jak to jest, że tak bardzo zależy nam na opinii, uznaniu innych, że robimy coś wbrew sobie? Skoro wakacyjny wyjazd ma być odpoczynkiem od rutyny, dlaczego wybierając cel podróży, myślimy też o ludziach, których ona nie dotyczy?

W głębi duszy odczuwam tęsknotę za spokojem prowincji, a ostatecznie trafiaam do miejsca, które jest jej przeciwieństwem. Im częściej jeżdżę w popularne miejsca, tym bardziej tęsknię za spokojem, który niegdyś mi towarzyszył. Przytoczę słowa Dariusza Czaj z jego artykułu o paradoksie prowincji: „[...] to, co w niej źródłowe, najbardziej cenne, zobaczyć można – jak się okazuje – tylko z zewnątrz. [...] jej egzystencjalny sens i twórczą moc dojrzeć można dopiero, kiedy się już z niej wyjedzie”¹. Być może celowo rzucamy się w świat, aby pozwolić sobie na odczuwanie nostalgii, tęsknoty za domem, dawnym czasem. Bo tęsknota to wyjątkowo ludzka cecha. Pod koniec artykułu Dariusz Czaja puentuje, że każdy z nas „to postać podszyta tęsknotą, która jest jego znakiem rozpoznawczym”². Możliwe, że głównym celem podróży, nawet tej odbywanej raz po raz w to samo miejsce, jest chęć uczynienia domu i rutyny bardziej przyjaznymi.

Aleksandra Gliwińska

¹ D. Czaja, *Paradoks prowincji*, „Konteksty. Polska Sztuka Ludowa”, 02 (2008): s. 32.

² Tamże, s. 33.

Wolność na Woodstocku

Pobył na Poland Rock Festivalu (Woodstocku) był dla mnie jednym z większych szoków kulturowych, jakich doznałam w życiu. Ludzie z różnych zakątków świata, o zupełnie odmiennym stylu bycia i poglądach. A jedyne, co ich łączy, to ten festiwal. W zasadzie wielu z nich nie przyjeżdża tam nawet dla muzyki. Ba! Nawet nie kojarzą nazw zespołów. Tu chodzi o coś więcej. O samo przeżycie totalnego chaosu.

O Woodstocku słyszałam już w dzieciństwie. Dobrze pamiętam, jak moi rodzice kłócili się z dziadkami. „Ten Owsiak, zamiast na dzieci dawać, to koncerty dla ćpunów organizuje!”, wrzeszczała moja babcia, gdy rodzice zaczynali temat WOŚP-u, albo samego festiwalu. Moi rodzice w młodości jeździli tam co roku. Dlatego też, gdy osiągnęłam odpowiedni do tego wiek, też zdecydowałam się pojechać. Gdy znalazłam się na miejscu (było to już po pierwszym roku mojego studiowania), zobaczyłam szczyry raj dla antropologów. Pełno tam różnorodnych subkultur, różnych grup wiekowych, różnych poglądów, zachowań. Jakim cudem to wszystko współgra?

Ciekawym aspektem tej różnorodności jest zanik wszelkich konfliktów. Nie ma sporów o wyznanie czy politykę. Wszyscy nagle stają się przyjaciółmi. Nasza grupa trafiła do obozowiska z ludźmi z drugiego bieguna światopoglądowego. My, w większości „lewacy”, każdy na studiach, mieliśmy obóz z 40-letnimi ludźmi, którzy nie hamowali się z wyrażaniem swoich przekonań. Jakoś to nikomu z nas nie przeszkadzało. Dlaczego tak się dzieje? Woodstock promuje wolność i ekspresję, uczestnicy festiwalu czują się dzięki temu swobodnie. Wszyscy tutaj zapominają o nienawiści. W dodatku jest to festiwal nieskażony współczesną komercją, przez co łączy ludzi ze sobą.

Erich Fromm w jednych ze swoich popularniejszych prac – *Ucieczce od wolności* – dzieli wolność na pozytywną i negatywną. Wolność pozytywną Fromm nazywa „wolnością do”, oznacza to jakąkolwiek formę, dzięki której działamy, rozwijamy się i realizujemy. Podejmujemy dzięki niej świadome wybory, przez które dążymy do samorealizacji. Podstawą w rozumieniu wolności pozytywnej jest rozgraniczenie między „mogę” i „muszę”.

W jaki sposób odnosi się to do wolności na Woodstocku? Niestety niektórzy jej nadużywają... Mieliśmy na obozowisku jednego takiego delikwenta, mówiliśmy na niego „Orzeł”. Z nie byle jakiego powodu dostał taką ksywkę, pierwszego dnia był tak pijany, że nie potrafił

rozłożyć swojego namiotu i kiedy chciał położyć się spać... wyglądało to, jakby orzeł wlatywał do gniazda. Ten człowiek był fenomenem. Pił bardzo dużo piwa, spał w ToiToi-u, pierwszego dnia zgubił telefon w pogo. Opowiadał nam o swoich dzieciach (każde z inną kobietą, wszystkie poczęte na Woodstocku), o tym, że ma problemy z alkoholem i przez to chcą go wyrzucić z pracy. Dlaczego nam to mówił? Tutaj znowu pojawia się Erich Fromm, tym razem z definicją wolności negatywnej. Wolność negatywna, czyli „wolność od”, polega na braku ograniczeń, wyzwoleniu od zewnętrznych przymusów. Odrzuca się wszelkiego rodzaju więzy i ograniczenia. Jest to też odrzucenie pozytywnej wolności, co skutkuje poczuciem braku bezpieczeństwa, osamotnienia, czy strachu przed otaczającym światem. W wypadku „Orła”, można powiedzieć, że na Woodstocku uwolnił się od narzucanych przez społeczeństwo wartości.

Woodstockowa wolność wpisuje się w to, o czym mówił Fromm. Wolność nie zawsze jest pozytywna. Fakt, na festiwalu każdy może się poczuć całkowicie swobodnie, nie ma tam też szerzenia nienawiści względem jakiegokolwiek inności. Natomiast wśród uczestników występują takie przypadki jak nasz kompan „Orzeł”, który traktował wolność dosyć osobiście.

Kalina Szafkowska

MUZYK MOIM DRUGIM DOMEM

Gdy miałam siedem lat, podjęłam decyzję, że pójdę do Szkoły Muzycznej – miło było usłyszeć, że mam talent i warto, żebym go rozwinęła w tym właśnie miejscu. Jak przewidziały pewne panie, które pojawiły się jednego dnia w moim przedszkolu, by przesłuchać dzieci pod kątem predyspozycji muzycznych, dostałam się! Po dziewięciu latach spędzonych w tej szkole postanowiłam coś zmienić, sprawdzić, jak jest gdzie indziej. Zdecydowałam się więc pójść do technikum na kierunek o dumnej nazwie „technik weterynarii”. Szybko zorientowałam się jednak, że ta szkoła to swego rodzaju getto. Kompletnie odczłowieczające i upupiające miejsce, do którego zupełnie nie przystaję i absolutnie przystawać nie chcę. Na szczęście nadal miałam

odskocznę, ponieważ zostałam w „Muzyku”, ale w trybie popołudniowym. Mój dzień zatem wyglądał mniej więcej tak: od ok. 7:45 do 15:00 siedziałam na zajęciach, które wysysały ze mnie chęci do życia, żeby potem od ok. 16:00 do 19:00 uczyć się dalej, ale w miejscu, które w międzyczasie stało się moim drugim domem.

Czym jednak właściwie różniło się technikum od szkoły muzycznej? Można stwierdzić jak wielu uczących w „Muzyku” edukatorów, że to szkoła elitarna, chyba jednak fakt posiadania słuchu muzycznego nie plasuje automatycznie jego posiadacza pośród elity. Szukając odpowiedzi dalej, można zauważyć, że klasy w szkole muzycznej są mniej liczne, więc nauczyciele mają możliwość pochylenia się nad uczniami z większą uwagą. Jest to jakiś trop. Jednak nadal większość zależy od pedagoga prowadzącego zajęcia. Nasuwa się więc teza, że jeśli nauczyciel pracuje w zawodzie z pasji i umie przekazywać wiedzę, to będzie dobrym nauczycielem... prawda? No niestety nie. Nauczyciele w polskim systemie szkolnictwa są zmuszeni do powtarzania w kółko tych samych tematów. Nie ma też miejsca na dyskusje i wprowadzanie dodatkowych zagadnień interesujących zarówno dla nauczyciela, jak i dla uczniów. Łatwo więc o wypalenie zawodowe czy depresję. W takiej sytuacji nawet dobry nauczyciel, chociażby pracował w pięcioosobowych grupach, nie zda „egzaminu”. W takiej sytuacji jednak w szkole muzycznej i w technikum powinno być tak samo źle.

Gdzie więc kryje się odpowiedź? Dlaczego szkoła muzyczna stała się dla mnie drugim domem, a technikum więzieniem? Przecież to nie tak, że w „Muzyku” wszyscy nauczyciele byli świetni, a w technikum wręcz przeciwnie. To też nie tak, że w szkole muzycznej znalazłam się na idealnym kierunku, a weterynaria po prostu nie była trafiona. Było natomiast tak, że polityka jednej szkoły była wspierająca, a w drugiej – ograniczająca. Jednym z głównych powodów takiego stanu rzeczy, jaki mi się nasuwa, jest wspólnotowość wyraźnie obecna w szkole muzycznej. Nie ma co ukrywać, że jest to dość zamknięte środowisko specyficznie utalentowanych uczniów, którzy przebywają ze sobą wiele godzin dziennie przez niejednokrotnie 12 lat – nic więc dziwnego, że tworzy się tam wspólnota - *tönniesowskie Gemeinschaft*³. Relacje między nimi można przyrównać do sytuacji społecznej we wsiach – wszyscy się znają, o każdym napotkanym tam człowieku coś się wie, nawet jeśli się z nim nigdy nie rozmawiało. Jednocześnie nauczyciele nie są niedostępnymi bytami. To też są „swoi”. Są wyżej w hierarchii, ale też w większości działają na rzecz wspólnoty i są „dla” uczniów.

Przez kontakt z nauczycielami, którzy są otwarci i chcą rzeczywiście pomóc w zdobywaniu wiedzy, rodzi się poczucie, że nauczyciel to nie „obcy”. Nie działa przeciwko uczniom, ale jest „swoj” – działa z nimi. Działania dyrekcji też są ukierunkowane na poprawę sytuacji uczniów. Daje im się wolność i poczucie sprawczości. Otwiera się furtki, zostawia drogi ucieczki przed systemem. Oczywiście nie zawsze jest tak różowo – w „Muzyku” też realizuje się wypchany po brzegi program nauczania i stawia oceny, ale istnieje również możliwość napisania swojego programu nauczania, jeśli więc nauczyciel jest chętny, to może kompletnie zmienić oblicze przedmiotu. Tak zrobiła np. ucząca tam historyczka. Dodatkowo jest to szkoła, w której funkcjonuje instytucja lekcji indywidualnych, które otwierają głowę i dają nowe spojrzenia. Znow – dużo zależy od pedagoga, na którego się trafi, jednak sam fakt, że nauczyciel poświęca

³ F. Tönnies, *Wspólnota i stowarzyszenie*, PWN, 2008.

określony czas tylko jednemu uczniowi i szlifuje tylko jego umiejętności, zmienia wręcz sposób myślenia o sobie samym

Natomiast w technikum, do którego uczęszczałam, praktyki ograniczania wolności uczniów były na porządku dziennym. Podczas przerw nie można było wyjść poza teren szkoły – jest to zrozumiałe w przypadku osób niepełnoletnich, ale kompletnie irracjonalne, jeśli mówimy o osobach już dorosłych. Jednak na polecenie dyrekcji nauczyciele stacjonowali przy bramach wyjściowych i zatrzymywali również osoby pełnoletnie. Zdarzało mi się nieraz kłócić w takich sytuacjach, ale odsyłano mnie do dyrekcji, albo straszono uwagą czy zgłoszeniem mojego karygodnego zachowania wychowawczyni. Skutkowało to przeskakiwaniem przez płoty w miejscach, których nauczyciele nie patrolowali. Również z polecenia dyrekcji nauczyciele byli zobligowani do wystawiania odpowiedniej liczby ocen z danego przedmiotu – były to bardzo szczegółowe instrukcje dotyczące również wagi ocen. Skutkowało to zalewem bezsensownych kartkówek tworzonych tylko po to, by wstawić jakiś wymagany ogólnie stopień, który o niczym nie świadczył. Usprawiedliwianie nieobecności również nie należało do praw dorosłych uczniów – wciąż pozostawało w gestii ich rodziców. Dla mnie osobiście najbardziej uderzająca była zgoda uczniów na taki stan rzeczy. Myślę, że była ona konsekwencją wielu lat przebywania w takim ograniczającym systemie szkolnictwa, w którym nie ma mowy o osobistym rozwoju czy samostanowieniu. Potem z przyzwyczajenia uczniowie godzą się na to, co zastają, bo już są zindoktrynowani i często nawet nie wiedzą, że odbierane są im ich prawa. Czasem nawet pojawiają się uczniowie-produkty systemu, którzy wręcz prześladowają swoich kolegów, gdy ci mają frekwencję mniejszą niż 80% lub też w inny sposób „zagrażają” systemowi. Chyba najbardziej dołujący był jednak widok nauczycieli, którzy chcieli wprowadzać zmiany, ale dyrekcja na to nie zezwalała. Dla zarządzających tą szkołą najważniejsze były liczby – oceny, frekwencja i wyniki maturalne. Była to najprawdopodobniej próba podniesienia prestiżu szkoły. Tworzenie wspólnoty i klimatu sprzyjającego uczeniu się było niestety drugo-, jeśli nie trzeciorzędne.

Zofia Wawszkiewicz

ZASTRZEŻENIE: Ze względu na objętość tekstu, treści w nim zawarte są okrojonym opisem wycinka mojej szkolnej rzeczywistości zawierającym skróty myślowe i nierozwinięte w pełni wątki.

Na Gwiastowanie przybywaj bocianie

Bociany to ptaki, które od zawsze budziły we mnie zachwyt, teraz zaś przywołują wiele ciepłych wspomnień. Ich obecność w krajobrazie polskiej wsi jest nie tylko oznaką budzącej się do życia wiosny, ale również symbolem Zmartwychwstania i szczęścia. Moje osobiste doświadczenia z bocianami, zarówno te z dzieciństwa, jak i te późniejsze, kształtowały moje postrzeganie przyrody, tradycji oraz cyklicznego charakteru życia.

Próbując wyjaśnić zachowanie bociana, widziano w nim często chłopca, który zgrzeszył przeciwko Bogu. Opowiadano, że miał on orać w święto, za karę więc chodzi za pługiem i jest smutny. Według innej legendy Bóg nie chcąc, ażeby na ziemi żyły gady, płazy, a także inne rozmaite robactwo, zebrał je do worka i dał człowiekowi, aby ten wyrzucił to wszystko do morza. Człowiek, przybywszy jednak nad brzeg morza ciekawy tego, co było w worku, rozwiązał go. Żaby, jaszczurki, węże i inne paskudztwo wylazło z worka i rozeszło się po świecie. Za karę człowiek ten został przemieniony w bociana, który musi zbierać to wszystko, co rozsypał.

Dorastałem w niewielkiej miejscowości oraz w wiosce moich dziadków, gdzie gniazda bocianie były częścią codziennego widoku. Jako dziecko każdego roku z niecierpliwością wyczekiwałem pierwszych bocianów, które przylatywały po długiej podróży z Afryki. Pamiętam, jak cała wieś ożywała się na widok tych majestatycznych ptaków. Starsi mówili, że jeśli pierwszy bocian wiosną zostanie dostrzeżony w locie, przyniesie to szczęście i pomyślność. Wraz z tymi wierzeniami zakorzenił się we mnie szczególny szacunek do tych ptaków. Jednocześnie czuliśmy, że jeśli pierwszego bociana napotkamy stojącego na polu, to do następnej wiosny powinniśmy spodziewać się nie lada pecha oraz chorób.

Jednym z najbardziej emocjonujących wspomnień związanych z bocianami jest dla mnie obserwowanie ich gniazda znajdującego się na słupie niedaleko domu moich dziadków. Ludzie we wsi uważali, że bocian przynosi błogosławieństwo dla mieszkańców gospodarstwa, w którego obrębie założy swoje gniazdo. Dlatego też wielu gospodarzy próbowało ptaki do tego zachęcić, stawiając na pobliskich drzewach lub dachach swoich chat koła od wozów, kawałki czerwonych tkanin lub jakieś błyszczące przedmioty, które miały przyciągać uwagę. Wierzone również, że bociany wyczuwają złych ludzi, nie znoszą gniewu i agresji. Dlatego też uważano, że gdy ktoś w obrębie gospodarstwa popełnił jakiś niegodziwy czyn, bociany owo gospodarstwo opuszczały je i nigdy do niego nie wracały. Często siadałem z babcią na ławce przed domem i przyglądaliśmy się bocianie rodzinie. Było w tym coś uspokajającego i zbliżającego do natury – widok dorosłych ptaków karmiących swoje młode i asystujących im przy pierwszych próbach lotu. W tych momentach czułem się częścią czegoś większego, cyklu życia, który nieustannie się powtarza.

Bociany mają szczególne miejsce w polskiej kulturze i wierzeniach ludowych. Od wieków uważano je za ptaki przynoszące szczęście, a ich gniazdo w pobliżu domu miało zapewniać pomyślność. Co więcej, wciąż żywe jest przekonanie, że bociany przynoszą dzieci – mit, który jako dziecko traktowałem z pełną powagą, próbując doszukać się w nim głębszego sensu. W Polsce i w zachodniej Ukrainie znane są zawołania, zwracanie się do bociana z prośbą: „bociuś, kliczka, przynieś mi braciszka”. Łęczycka legenda mówi, że kiedy u chłopca urodziło się dziecko, bocian latał i krzyczał „się dzieciak, urodził się dzieciak!”. Bóg nie mógł tego krzyku znieść i odciął bocianowi język. Dlatego też teraz bocian krzyczy tylko „kle, kle, kle” i nikt nie może go zrozumieć. Dopiero później zdałem sobie sprawę, że ta opowieść była sposobem na tłumaczenie tajemnicy narodzin w sposób bajkowy i bliski naturze.



Obserwowanie bocianów nauczyło mnie cierpliwości, uważności oraz szacunku do przyrody. Ich coroczna migracja i powroty pokazują niezwykłą siłę instynktu i determinacji, a także przypominają, jak ważne jest pielęgnowanie więzi z miejscem, z którego się pochodzi. Pomimo upływu lat i zmian, jakie zachodzą w moim życiu, bociany zawsze pozostaną dla mnie symbolem domu, cykliczności i powrotów do tego, co najważniejsze.

Przysłowia ludowe związane z bocianami:

- ❖ Gdy bocian na święty Józef przybędzie, to śniegu już nie będzie.
- ❖ Na Zwiastowanie przybywaj bocianie.
- ❖ Na święty Józef bocian na stodołę, szykuj sochę i jedź orać pole.

Adam Berliński

Wygón łowiec

Roztomili,

po roz piyrszy (mó nadzieje, że aji nie łostatni) przichodzi mi pisać tekst do "Nowych Okoliczności". Myśle, że aspón w nawióznaniu do tematu numeru, dobrze byłoby nejprzód powiedzieć kapke łó sobie. Na miano mó Jano, do Torunia przekludziłech sie ze Ślónska Cieszyńskigo, skónd pochodzi prawie cało mojo familija. Terozy jeżech tukej na I roku Etnologii. Łuznołech, że na wiosne wróce pamieniń do łóńskigo Wygónu Łowiec na Wisłach, łopowie łó te, cóż to takigo i cóżech ta robił.

W górach mómy taki powiedzeni, że „gdo mo łowce, tyn mo co chce”, i chyba z takó myśló swój ścieżke kariery wybrali współczēsni baczowie i inksi łowczorze. Wygón to było właśnie ich świynto. Mo to świynto roztomaite nazwy w zależności łod miejsca, isto nejbarżyj rozpoznawalnó byłby *redyk*. Polego łono na łuroczyste rozpoczeciu sezonu wypasu, jak łowce po roz piyrszy w roku wykludzane só na grónie.

Na Wygónie zebrały sie różne zespoły i kapele. Mój Zespól Pieśni i Tańca „Wisła” wystawioł przedstawieni łó zabawie w hańdownej gospodzie. W programie było pore tańców, jako to łó nas bywo, głównie polek i walczyków. Nikiedy emocje miendzy nami na próbach budził łowienziok. Balimy sie, że Wiślónie jak to łuwidzó, to bedó nasmolóni prawić, że to ni ma wiślański, jyny z Trójwsi (Istebne, Kónioków, Jaworzinka), a Wiślóki z Istebniokami fórt rzadko majó sie radzi. Czy faktycznie to kierego mierziło? Nie wie, i już sie isto nie dowie. Jak to zwykle bywo, na publiczności nejwienksze wrażeni robiły chłopski popisy: żabiok i zajónczek. Po tych tańcach, skyrz drzewińej biny przez kolejne pore miesiency wycióngółech drzazgi z rónk.

Były jeszcze pokazy taki czy inakszej łobróbki mlyka i zabawy dlo dziecek. Wiślańskie Centrum Kultury wpadło na pomysł, coby zaadaptować fest popularny wtenczas *hobby horsing* na nasze, tworzónc zawody *hobby sheep*. Łoczywiście nie chybiało jedzenio. Na łozajst nejdlúszo kolejka czekała na nasz nejwienkszy górolski hit – plackami z blachy. Isto trzeja tam było stoć dwie godziny. Byłech już downo dóma, kiej zespolocy mi napisali, że sie na nich doczekali, a hyc był wielki. Nie wie jak wydzierzeli w tych wełnianych galatach i czornych sukniach.

Wygón to była aji rzadko łokazyja, coby łuwidzić, co górole robió ze swoim paradne łoblyczeniem, kiej nie muszó wyglóndać wszyscy jednakowo (czego chcó nikiere zespoły, baji

„Wista”). Tak jak czase miotech wrazeni, że moi poczuci estetyki na te cierpi, to jednak były i taki kreacje, kiere były według mie fest szumne, a nie só przewidziane w żodne łopracowaniu (baji łańcuszek ze zadku bruclika). Mie sie zdo, że to je dobre, że nasze paradne łoblyczeni sie fórt poradzi rozwijać. Taki niełoczywisty dodatek tu i tam to jak sznytlok do wajeśnicy na wiosne: szmakuje jak sie jyny z te nie przesadzi.

Jan Jerzy Niemczyk

Słowniczek: aspóń - przynajmniej kapke - trochę łóńskigo - zeszłorocznego baczowie - bacowie (kierownicy wypasu owiec) isto - najprawdopodobniej łuwidzó - zobaczą nasmolóni - rozgniewani prawić - mówić fórt - wciąż skyrs - z powodu bina - podest z desek do tańca chybiało - brakowało	na łozajst - z pewnością hyc - upał galaty - spodnie paradne łoblyczeni - strój odświętny baji - na przykład fest - bardzo szumne - ładne ze zadku - z tyłu bruclik - czarna lub czerwona kamizelka do stroju góralskiego sznytlok - szczypiorek wajeśnica - jajecznica
---	--

STRAMBERK

Pomnik znajduje się za starą szkołą, u progu Parku Narodowego, pod wzgórzem Kotouc w Stramberku, małym górskim miasteczku leżącym we wschodniej części Czech. Autorem jest akademicki rzeźbiarz Frantisek Juranc, który swoim dziełem upamiętnił obywateli Stramberka poległych w pierwszej wojnie światowej. Odsłonięcie nastąpiło w 1928 r. Na przedniej tablicy widnieje napis „Památce padlých ve světové válce město Štramberk” co w tłumaczeniu oznacza „Pamięci poległych w wojnie światowej, miasto Strabmerk”. Na tylnej części pomnika znajdują się imiona i nazwiska osób zmarłych podczas wojny. Po zakończeniu drugiej wojny światowej po lewej oraz prawej stronie pomnika dodano imiona, nazwiska, daty urodzenia oraz daty i przyczyny śmierci poległych w niej żołnierzy, jak i dwóch osób, które zaginęły w 1943 roku. Pomnik przedstawia mężczyznę spoczywającego na piedestale w ramionach kobiety, jego głowa pochylona jest w prawą stronę, a oczy spoglądają w niebo. Na jego twarzy widnieje spokój i zmęczenie. Lewą ręką trzyma dłoń kobiety, prawą zaś zaciśniętą w pięść opiera na swoim udzie. Ubrany jest w długi płaszcz o dwurzędowym kroju, ze sztormowym kołnierzem i długimi rękawami zakończonymi podwiniętymi mankietami, na nogach ma amerykańskie wojskowe buty. Kobieta klęczy obok mężczyzny, lewą ręką podtrzymując jego plecy, prawą ściskając jego dłoń. Pochylając się nad nim, całuje jego czoło. Prawdopodobnie jest to żona, która swą obecnością i dotykiem chce dać swemu mężowi ukojenie. Rzeźba wyraża, że w tym małym mieście Stramberski żołnierz był kimś więcej niż wojskowym, był częścią czyjejś rodziny, czyimś sąsiadem lub przyjacielem, miał swoje imię, nazwisko i swoją własną historię. Na tej ziemi może nareszcie zaznać spokoju, bo to tutaj ktoś stęskniony czeka na niego, chcąc dać mu miłość, ostoję i w końcu pozwolić mu stać się bezbronnym.

Maria Buczkowska



Przegadane farmazoniarskie manifesto⁴

Wielu spośród Szanownych Czytelników zdziwi albo zgoła zniesmaczy pojawienie się niniejszego tekstu oraz samej rubryki farmazoniarskiej na łamach naszego pisma. Ale kto prawdziwie jest ciekaw głębokiej natury ludzkiej, ten potraktuje zawarte tu postulaty zupełnie poważnie. Bo i kwestia jest zupełnie poważna – przyszła bowiem najwyższa pora należnie docenić wagę farmazonienia w ludzkim życiu oraz uznać jego użyteczność dla poczynañ badawczych antropologii. Wszyscy farmazonimy. Bajdurzymy, pleciemy trzy po trzy, smolimy kocopoły i *ciepiemy bez synsu* (z gwary cieszyńskiej⁵). Zachłystujemy się i toczymy pianę, gdy na usta ciśnie nam się wyjątkowo trafiona głupotka; wymieniamy między sobą porozumiewawcze spojrzenia i uśmiechy, gdy tylko wyczuwamy krew potencjalnego jaja. Zajmujemy się w życiu rozmaitymi sprawami, z których wiele przynajmniej powinno budzić szacunek, podejmujemy się trudnych zadań, rozmyślamy na wymagające tematy. Jednak gdy spróbujemy spojrzeć na ludzi i samych siebie z dystansu, zorientujemy się, że często najwięcej satysfakcji przynoszą nam te krótkie przerwy, kiedy odrzucamy „wyraz śmiertelnej powagi⁶” i zaczynamy jajować. Każdy z nas choćby i w ograniczonym stopniu realizuje się jako jajcarz (*I'm the eggman, they are the eggmen, I am the walrus goo-goo g'joob*)⁷.

Styl jajowania i treść farmazonów są nieprawdopodobnie wręcz bogatym źródłem informacji. Pozwalają na głębokie wniknięcie w osobowość konkretnego człowieka, ale również rozpoznanie uwarunkowań kulturowych, które tego człowieka stwarzają. Skąd bowiem indziej miałyby przyjść farmazoni i sam nerw farmazoniarski, jeśli nie z kultury, i to z jej

⁴ Słowo „manifesto”, pochodzące z tego samego sympatycznego języka co wyrazy presto, gusto, czesto-gesto, ciasto i miasto, wypożyczyłem z piosenki Lany Del Rey pt. *Get Free*, gdyż brzmi fajnie. Wspominam o tym, żeby nie zostać pozwanym przez Del Rey za wykorzystanie elementu jej piosenki, tak jak ona została pozwana przez zespół Radiohead za wykorzystanie w *Manifesto* elementów piosenki *Creep*, tak jak on został pozwany przez zespół The Hollies za wykorzystanie w *Creep* elementów piosenki *The Air That I Breathe*, tak jak on powinien zostać pozwany przez Wielką Tradycję Amerykańskiej Muzyki Folkowej za bezlitosne *cultural appropriation*. Na łonie owej Wielkiej Tradycji również przydałoby się kilka procesów (czyje do diabła jest tak naprawdę banjo??).

⁵ Mój znakomity redakcyjny kolega Jan Jerzy „Baby J” Niemczyk, który pochodzi ze Śląska Cieszyńskiego, płynnie posługuje się gwarą cieszyńską i jest autorem zamieszczonego wyżej świetnego tekstu w gwarze cieszyńskiej, będzie utrzymywał, że tak się wcale nie mówi. Uprzejmie proszę o nie zwracanie na to uwagi. Dziękuję.

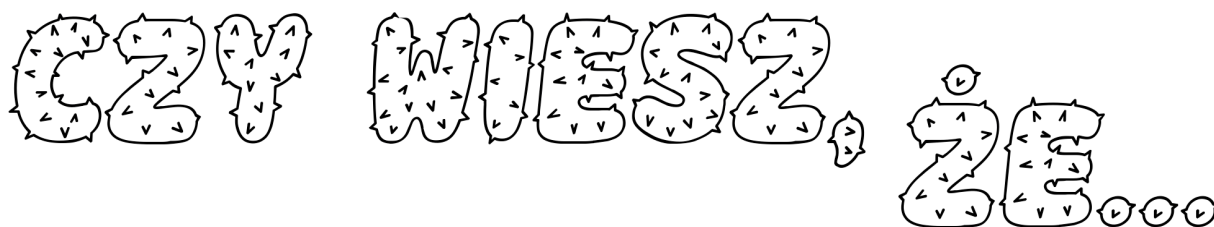
⁶ To z Anawy.

⁷ Fragment farmazoniarskiego hymnu *I am The Walrus* autorstwa Johna Lennona i The Beatles. Podaję źródło z tych samych powodów, co powyżej, inaczej bym sobie to pewnie przypisał. Duch Lennona bezzwłocznie złożyłby pozew, chłopak kochał sądy.

najpierwotniejszych pokładów? Dlatego też niniejszym tekstem otwieram projekt antropologii farmazoniarskiej. Nowa metoda będzie zajmować się zarówno opisywaniem farmazonów, jak i komunikowaniem wiedzy antropologicznej za ich pomocą. Następnymi tekstami będę starał się przedstawić Czytelnikom rozmaite możliwe podejścia i przykładowe tematy, które mogą stanowić przedmiot antropologii farmazoniarskiej. Mam nadzieję zresztą, że nie będą to tylko moje teksty – rubryka jest otwarta dla wszystkich piszących o jajeczno-kocopolskim zacięciu. Gorąco i nawet szczerze zachęcam do współtworzenia tej dopiero co rodzącej się dziedziny wiedzy. Warto poznawać farmazoniarską aktywność człowieka, warto szukać miejsc, z których jego jajo się wytacza, i wyglądać celu, do którego się turla. Warto wreszcie poznawać farmazon sam w sobie, w jego krwi i mięsie, w bijącym sercu i nadwyrężonej wątrobie, w płucach, którymi oddycha, i w nosie, którym kicha. Projekt antropologii farmazoniarskiej czas zacząć!

Tomek Makowski

★ **Zabłyśnij!**



Zapomniany brat

Józef Piłsudski, słynny marszałek Polski, **miał brata! Bronisław Piłsudski** był **etnografem**, który „dzięki” zesłaniu na 15 lat katorgi na Sachalin za udział w zamachu na cara Aleksandra III, zamieszkał wśród społeczności Ajnów i zafascynował się ich kulturą. Jako jeden z nielicznych za pomocą fonografu **utrwalił mowę i pieśni** tej rdzennej ludności. Oprócz tego **stworzył słownik**, w którym zawarł około 10 tysięcy przetłumaczonych słów z ich języka, **badał ich obyczaje**, a także **spisał wiele legend i podań ludowych Ajnów**.

Więcej na ten temat dowiesz się na:
<https://kulturaludowa.pl/aktualnosci/bronislaw-pilsudski-niezwykly-brat-marszalka>

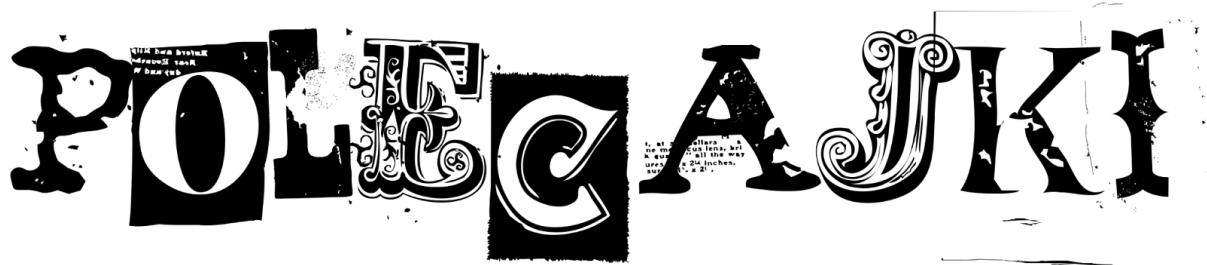
Prasowanie... piersi?

W niektórych krajach **Afryki Zachodniej**, m.in. w Kamerunie, praktykowany jest okrutny zwyczaj nazywany „prasowaniem piersi”. Polega on na układaniu **gorących, ciężkich przedmiotów** na piersiach dziewczynek – będących często jeszcze **przed okresem pokwitania** – w celu okaleczenia ich ciał, co miałyby uchronić je przed napaściami seksualnymi ze strony mężczyzn. Realizujące tę praktykę matki wierzą, że mimo wiążącego się z nią niewyobrażalnego bólu, deformacja **chroni ich córki** przed gwałtem czy niechcianą ciążą.

Więcej na ten temat dowiesz się na:

<https://kobieta.wp.pl/prasowanie-piersi-matki-z-kamerunu-tak-chronia-corki-6364598521956481a>

Julia Zaręba



Seria książek „Ślady zbrodni” Małgorzaty Fugiel-Kuźmińskiej i Michała Kuźmińskiego oraz serial „Śleboda” opowiadają przygody młodej doktor antropologii z Krakowa Anny Serafin oraz dziennikarza Sebastiana Strzygonia, którzy wspólnie rozwiązują zagadkę kryminalną. Kiedy Anna wyjeżdża w Tatry, żeby pisać książkę o komunikacji Górali, trafia na sprawę morderstwa góralskiej rodziny Ślebodów. Zarówno książka, jak i serial mogą zyskać uznanie wśród antropologów dzięki refleksji nad tożsamością, tradycją i przemianami kulturowymi w konserwatywnych społecznościach funkcjonujących we współczesnym świecie. Produkcja opowiada historię ludzi żyjących w małej góralskiej społeczności, w której codzienne życie wkradają się elementy nowoczesności, migracji. To pole konfliktów między zachowaniem tradycyjnych wartości a wpływami globalizacji, a także teren o trudnej przeszłości związanej ze społecznością Goralenvolk i kolaboracją z hitlerowskimi Niemcami. Polecam wam też polecam zapoznać się z pozostałymi książkami z serii „Ślady zbrodni”, gdzie poznacie kolejne zagadki rozwiązywane przez Ankę i Bastiana. Zagadki te dotyczą innych grup etnicznych w Polsce: Żydów, Romów i Ślązaków. Jest to tak zwany „etno-kryminał”. Jeżeli zainteresowała was tak zarysowana fabuła, zachęcam do zapoznania się z serialem „Śleboda” i książkami „Śleboda”, „Pionek”, „Kamień” oraz „Mara” – w tej kolejności.

Olga Fisz



Autorka okładki

Natalia Kierkuś - absolwentka Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Kielcach na specjalizacji techniki rzeźbiarskie. Obecnie studentka UMK na kierunku antropologia i etnologia kulturowa. Na co dzień próbuje swych sił w technikach cyfrowych, ewentualnie eksperymentuje w akwarelach i farbach olejnych.



Inspiracją do stworzenia okładki jest główny temat tego numeru, czyli autoetnografia. Grafika wizualnie przedstawia proces autoetnograficzny — połączenie osobistej refleksji i analizy kulturowej. Sylwetka w oknie symbolizuje introspekcję, podczas gdy zróżnicowane okna i kolory odzwierciedlają różne doświadczenia emocjonalne i społeczne.



SFERMENTOWANY DEHNATURAT